

Wacław J. Jędrzejczak

W polskiej szkole DP w Niemczech po drugiej wojnie światowej : wspomnienia ucznia z lat 1945-1949

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 3, 278-284

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W POLSKIEJ SZKOLE DP W NIEMCZACH PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

WSPOMNIENIA UCZNIA Z LAT 1945–1949¹

Już od pierwszych chwil istnienia obozów DP² w Niemczech, władze obozowe organizowały w nich polskie szkoły dla dzieci i młodzieży. W połowie maja 1945 roku uczęszczałem do pierwszej takiej szkoły jako 17-letni młodzieniec, razem z mým o dwa lata młodszym bratem Cześkiem. Było to w obozie Haldern w Nadrenii, w angielskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Obóz składał się z namiotów ustawionych na ogromnej łące, a szkoła mieściła się w jednym z większych namiotów. Materiałów szkolnych prawie nie było. Pisaliśmy resztkami ołówków na skrawkach papieru.

Pod koniec maja kilka rodzin, w tym też nasza rodzina, przeniosły się do obozu urządzonego w trzech wioskach, Praest, Dornick i Vrasselt, niedaleko granicy holenderskiej, koło miasta Emmerich. We wiosce Dornick zorganizowano szkołę podstawową, w której uczniów podzielono na trzy grupy. My obaj byliśmy w trzeciej, najstarszej grupie. Pierwsze stadium nauki zakończyło się w połowie sierpnia, kiedy to zaczęły się wakacje szkolne.

Nowy rok szkolny rozpoczął się 3 września w szkole zorganizowanej już jako normalna szkoła podstawowa o siedmiu klasach. Czeška umieszczono w klasie 6, a ja byłem w klasie 7, która miała 15 uczniów. Uczyliśmy się polskiego, historii, śpiewu, arytmetyki, rysunków, zajęć praktycznych, ćwiczeń cielesnych, przyrody, geografii, łaciny i religii.

Pięcioro uczniów z 7 klasy, łącznie ze mną, niedługo jednak chodziło do szkoły podstawowej. Pod koniec października przestaliśmy uczęszczać na regularne lekcje i zamiast tego przygotowaliśmy się do rozpoczęcia nauki w gimnazjum polskim w Köln-Mülheim, przedmieściu Kolonii. Początkowo mieliśmy jechać do szkoły średniej w Lippstadt, ale były jakieś trudności z umieszczeniem nas tam.

Wyjazd do nowej szkoły nastąpił 9 listopada 1945 roku. Szkoła mieściła się w polskim obozie DP w Mülheim, mieszczącym się w dawnych koszarach niemieckich, częściowo zniszczonych. Mieszkaliśmy w internacie. W pokoju było nas siedmiu, a cała szkoła liczyła około 50 uczniów i uczennic. Następnego rana o 8.00 zacząłem naukę w pierwszej klasie gimnazjum.

Pan Waclaw Dudziński był dyrektorem gimnazjum i uczył języka polskiego i rysunków; pan Lindner uczył matematyki; pan Mielcarek prowadził historię i geografię; pan Bazan uczył biologii; pan Kazimierz Odrobny języka angielskiego; pan Dyniewicz uczył łaciny; ksiądz Perski miał religię; pan Domański miał z nami gimnastykę i wreszcie pani Dymek śpiew. Ponieważ przyjechaliliśmy do gimnazjum już po rozpoczęciu roku szkolnego, mieliśmy dużo materiału do przepisywania z biologii, historii i geografii.

W połowie grudnia, gdy nadeszła zima, nastąpiła przerwa w nauce, gdyż nie było węgla do ogrzewania klas. Dyrektor miał tylko z nami lekcje śpiewu każdego rana. Przygotowywaliśmy się do wieczorku literacko-wokalnego, który przy końcu stycznia z powodzeniem zaprezentowaliśmy mieszkańcom obozu. Wieczorek zaczął się hejnałem mariackim, były wiersze, muzyka fortepianowa Chopina i koledy na nasz czterogłosowy chór szkolny. Według oceny słuchaczy te „Odgłosy z kraju” były bardzo mile i wzruszające. Po wieczorku urządzano w sali zabawę. Lekcje zaczęły się znów w lutym, gdy dostaliśmy węgiel do ogrzewania.

Naszą rozrywką było najczęściej kino. Mülheim była to dzielnica Kolonii położona na wschodnim brzegu Renu. Część dzielnicy bardzo ucierpiała podczas wojny, tak że niektóre ulice były po prostu ścieżkami pomiędzy górami gruzów. Ale wśród tych gruzów, jakby jakiś feniks, powstało małe, w pełni funkcjonujące kino. W wolnym czasie tam właśnie uczęszczaaliśmy i z przyjemnością oglądaliśmy przedwojenne filmy niemieckie. Drugie kino było w miasteczku Wiesdorf,

¹ Na podstawie maszynopisu książki *Kadencja miłości, historia emigranta do Australii 1939–1956*.

² *Displaced Person*, dipis — osoba znajdująca się poza własnym krajem w rezultacie wojny.

do którego dojeżdżaliśmy tramwajem. Wyświetlano też filmy wieczorami w sali obozowej, czasem nawet polskie. W dzień zaś odbywały się tam lekcje tańca, w których uczniowie brali udział. Kierownictwo gimnazjum urządziło też wyjazdy do teatrów niemieckich i taneczne zabawy w budynku szkolnym. Jeszcze inną rozrywką były spacery nad Renem, szczególnie w piękne wieczory wiosenne.

Szkoła organizowała też wykłady na popularne tematy, na przykład o bombie atomowej, a oficer polskiego lotnictwa mówił o udziale w walkach kilku tysięcy polskich lotników stacjonujących w Anglii podczas wojny i o roli lotnictwa wojskowego w ogóle. Odwiedziliśmy również słynną katedrę kolońską na przeciwległym brzegu Renu, którą budowano przez 600 lat od 1248 roku i która uległa uszkodzeniu podczas wojny.

W czasie wakacji wielkanocnych czy na Boże Narodzenie, ci uczniowie, którzy mieli rodziców w Niemczech, zazwyczaj mieszkających w innym obozie DP, rozjeżdżali się do swych rodziców. Niektórzy uczniowie i nauczyciele wracali do kraju. Początkowo repatriacja była zupełnie dobrowolna, ale później zarówno warszawskie jak i angielskie władze wywierały presję na nas, żeby wracać. Zachodni alianci uznali komunistyczny rząd w Polsce, więc z nim współpracowali. Mieliśmy informacje, że warunki materialne w kraju były złe, ale uważaliśmy, że to nie było rzeczą najważniejszą. Za to martwiły nas docierające tu wiadomości o aresztowaniach a nawet egzekucjach ludzi pod pretekstem tego, że byli „wrogami ojczyzny”.

W obozie zorganizowano kurs samochodowy, a 20 kandydatów ze szkoły uczęszczało nań jako osobna grupa. Kurs obejmował nie tylko naukę jazdy, ale też teorię, to znaczy części składowe i działanie pojazdu mechanicznego. Po zdaniu egzaminu otrzymaliśmy niemieckie prawo jazdy.

Pierwszy rok szkolny po wojnie zakończył się oficjalnie w sobotę 1 czerwca 1946 roku mszą świętą odprawioną przez naszego księdza prefekta, a potem w szkole każdy z wychowawców wydał swym uczniom świadectwa. Uczniowie klasy 4 otrzymali świadectwa „małej matury” w obecności całej szkoły, a o godzinie 11.30 w największej klasie udekorowanej portretami wielkich Polaków, godłem polskim, chorągwiemi polskimi i angielskimi i kwiatami, zaczęła się akademia na zakończenie roku. Śpiewał nasz chór, przemawiał dyrektor, były wiersze po polsku, angielsku i po łacinie, solo wokalne i fortepianowe i na zakończenie hymn angielski i polski. Wieczorem cała szkoła łącznie z kierownictwem i gronem nauczycielskim bawiła się na zabawie tanecznej.

Nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora gimnazjum. Nowym dyrektorem został pan Kazimierz Odrobny. Dyrektor Dudziński oświadczył, że ustępuje na rzecz pana Odrobnego z powodu jakiś swych zajęć, które nie pozwalają mu pozostać na stanowisku. Mówiono jednak, że go zwolniono i były podejrzenia, że zmiana nastąpiła z powodów politycznych.

Podczas wojny polska młodzież szkolna straciła dużo czasu gdyż Niemcy nie pozwolili jej się uczyć. Aby to przynajmniej częściowo naprawić, dyrektor gimnazjum pod koniec roku szkolnego zaproponował kilku uczniom, żeby przez długie, letnie wakacje przerobili materiał klasy 2 i gdy zdadzą egzaminy z niego po wakacjach, zaczęli naukę w klasie 3. Zachęcał do tego pięcioro uczniów i uczennic, ale w końcu tylko dwóch uczniów, mój przyjaciel Józek i ja, zdecydowało przyjąć propozycję dyrektora i jeszcze przed końcem roku szkolnego spędzaliśmy trochę czasu ze starszym uczniem, który uczył nas algebry. Gdy zaczęły się wakacje, zabraliśmy się na serio do materiału 2 klasy.

I choć były wakacje, pan Odrobny prowadził też dalej lekcje angielskiego. Nie były one przymusowe, ale rozsądek mówił nam, że należy na nie uczęszczać, bo znajomość tego języka mogła się w przyszłości przydać.

Podczas wakacji szkoła urządziła dwie wycieczki z Kolonii statkiem w górę Renu, pierwszą do Königswinter, a drugą do Koblencki.

Nasze przyswajanie sobie materiału 2-giej klasy postępowało naprzód, ale powoli. Może gdyby nauczyciel to prowadził i zadawał materiał do nauczenia się, byłoby to jakoś łatwiej, niż gdy musieliśmy sami kontrolować naukę.

Ale jednak przy końcu lipca i na początku sierpnia Józek i ja zdawaliśmy ustne i pisemne egzaminy z materiału 2 klasy, który podczas wakacji przerobiliśmy. Osiągnęliśmy dobre wyniki we wszystkich przedmiotach oprócz botaniki, którą czytaliśmy dopiero w ostatnich dniach. W każdym razie, gdy 6 sierpnia zaczął się rok szkolny, byliśmy w klasie 3.

W nowym roku szkolnym mieliśmy o jedną klasę więcej — pierwszą licealną, składającą się z zeszlorocznych uczniów klasy 4. Ponieważ w budynku służącym nam za szkołę brakowało pomieszczeń, pokój nauczycielski został klasą licealną, biuro zostało pokojem nauczycielskim, a szatnia biurem.

Liczba uczniów bardzo się powiększyła z nowym rokiem szkolnym. Najliczniejsza była, jak zwykle, klasa pierwsza, w której przeważały dziewczęta. Było też w szkole dużo małych chłopców z krzykiem uganiających się na przerwie za piłką. Szkoła straciła zupełnie powagę, którą mogła się przedtem szczycić!

Delegat Rady Obozowej zwołał zebranie wszystkich uczniów i polecił nam wybrać spośród siebie trzech reprezentantów, którzy by przedstawiali Radzie nasze problemy i potrzeby. Reprezentantów wybraliśmy, a rezultaty ich starań były natychmiast widoczne. Za kilka dni wydano nam bieliznę, po części nową, skarpety i swetry i tym, którzy o to prosili, płaszcz.

Czasem nasze obozowe menu uzupełniały paczki żywnościowe organizacji UNRRA³. Zawierały takie produkty jak biskwity, marmoladę, ser, konserwy rybne, konserwy fasoli z boczkiem. Rodzice uczniów przysyłali im też od czasu do czasu ze swego obozu paczki z żywnością. Ale warunki w naszym obozie stawały się coraz gorsze. Ilość żywności, którą kiedyś wydawano codziennie, teraz miała starczyć prawie na cały tydzień. Bochenek chleba był na cztery osoby: porcja masła albo smalcu wydana na dwa lub cztery dni wystarczała tylko na jeden dzień. Zupa w południe była często po prostu jak woda. Tym uczniom, którzy byli sami, bez rodziny, więc nie dostawali paczek z domu, było naprawdę trudno przeżyć na tym, co wydawano. Objawiła się beznadziejność naszej sytuacji. Pozostawanie tutaj do niczego nie prowadziło, a sytuacja w Polsce była niejasna.

Nie było pewności czy szkoła będzie mogła dalej istnieć. Była możliwość, że wszyscy uczniowie i ich rodzice przeniosą się do Ameryki i tam będą kontynuować naukę, wspierani przez Związek Polsko-Amerykański. Dla uczniów po maturze, będących na razie w Niemczech, starano się o miejsca na studia w uniwersytetach zachodniej Europy.

W końcu, po prawie roku wykorzystanym na naukę w szkole w Kolonii-Mülheim, obóz i szkoła miały być przeniesione gdzie indziej. Szukano odpowiedniego miejsca, gdzie uczniowie i ich rodzice mogliby zamieszkać razem w tym samym obozie. Jednym z możliwych był obóz przejściowy, ale zanim można było tam zamieszkać, trzeba było zdecydować, gdzie się chce emigrować: do Chile, Peru czy do Argentyny. Zresztą pobyt w takim obozie byłby tylko stosunkowo krótki — do czasu wyjazdu do wybranego kraju.

Kilka dni później podano do wiadomości że szkoła przeniesie się... do klasztoru! W miejscowości Knechtsteden, około godziny jazdy od Kolonii, znajdował się w opactwie obóz DP. Obóz mógł przyjąć tylko dodatkowe 150 osób, więc nie było tam miejsca dla całych naszych rodzin. Najpierw przewieźliśmy z Mülheim do nowego obozu trochę mebli i materiałów szkolnych, a 22 sierpnia 1946 roku szkoła przeniosła się na dobre do knechtstedeńskiego klasztoru, który był pięknie położony wśród lasów.

Kwaterna chłopców była w dużej sali na poddaszu, do której wnieśliśmy nasze bagaże i ciężkie szafy wojskowe. Józek, drugi kolega, Sylwek i ja urządziliśmy sobie prywatny „pokój” w części naszej sali. Łóżka i stół postawiliśmy przy zewnętrznej ścianie, a szafy ustawione ku środkowi sali tworzyły przepierzenie razem z zasłoną z koca. Luksus w naszym „pokoju” stanowił jedyny, gdzieś zdobyty fotel. Było ciepło, więc okna w pochyłym suficie mogły być otwarte przez cały dzień. Ale mieliśmy nieprzyjemną niespodziankę gdy zaczęło padać — niektóre okna były nieszczelne, na szczęście nasze nie.

Przez pierwsze kilka dni w Knechtsteden ustawialiśmy ławki, tablice i inne meble szkolne w klasach, jeśliby można tak nazwać pomieszczenia przeznaczone na klasy. Trudno było znaleźć odpowiednie pokoje, może dlatego, że niektórzy pracownicy administracji obozowej nie byli nam przyjaźni. Klasa 1 miała szczęście dostać dobrą salkę, klasa 2 i 3 mieściły się w gospodzie *Gasthaus Klosterhof*, zaraz za murami klasztornymi, klasa 4 obok mojego łóżka (!), ale najgorsze miejsce miała 1 liceum — jej klasa była w starym schronie, czyli w piwnicy.

³ *United Nations Relief and Rehabilitation Administration*. Organizacja stworzona przez Narody Zjednoczone do spraw pomocy i rehabilitacji, która prowadziła obozy DP.

W niedzielę wszyscy uczniowie szli razem na mszę. Gdy ustawialiśmy się czwórkami i maszerowaliśmy do kościoła, przyglądali się nam mieszkańcy obozu i zakonnicy. Na ogół ludzie interesowali się naszą szkołą, a my ze swej strony staraliśmy się zdobyć przez swe postępowanie dobrą opinię u zakonników i u polskich mieszkańców. Obóz Knechtsteden też miał być niezadługo zamknięty i nasz dyrektor czynił starania, żeby szkoła mogła tu pozostać.

Codzienne zajęcia postępowaly według ustalonego programu. Budzono nas o 7.00 i natychmiast bieglem do umywalni. Gdy przyszło się trochę później, trzeba było stać w kolejce, bo do mycia były tylko dwa krany. O 7.30 mieliśmy modlitwę, a potem gimnastykę w określone dni. Gdzieś tam trzeba było znaleźć czas na śniadanie, czasem nawet bez garnuszka kawy, bo nie było jej gdzie zagrzzać. Do szkoły szliśmy o 8.30. Po szkole czekały nas zadania domowe, a o 9.30 wieczorna modlitwa. Gdyby chcieć ułożyć kodeks internatu, zaczynałby się chyba tak: „§1. Każdy spóźniający się lub uchylający się od wspólnej modlitwy lub porannej gimnastyki, winien jest myć kotły w kuchni przez dzień jeden”. I niektórzy z kolegów mieli takiego pecha, że właśnie im to mycie już przypadło.

Inspektor szkolny z Lippstadt przeprowadził wizytację szkoły i kwater mieszkalnych. Wyglądało na to, że niedługo znów będziemy przeniesieni do innego obozu.

Środa 9 października 1946 roku była „czarnym dniem” naszej knechtstedeńskiej szkoły. Wszyscy czuli się zdenerwowani i przygnębieni, bo zawiadomiono nas, że we wtorek 15 października przyjeżdża 30 samochodów, które zabiorą wszystkich mieszkańców obozu do Lippstadt. Nikt nie chciał tam jechać, ani uczniowie ani nauczyciele. Mówiono, że Lippstadt było pod pełnym wpływem warszawskiego rządu komunistycznego i tamtejszy obóz i szkoła też prawdopodobnie miały być wkrótce rozwiązane. Władze alianckie dążyły do zamknięcia wszystkich takich gimnazjów DP i nasz dyrektor chciał znaleźć jakiś odpowiedni obóz, gdzie mógłby szkołę dalej prowadzić, choćby nawet nieoficjalnie. Wysłał dwóch uczniów liceum do obozu w Cleve, aby dowiedzieli się jakie tam są warunki.

Byłem pełen podziwu i szacunku dla naszego dyrektora i nauczycieli, którzy pomimo wszystkich trudności dalej uczyli i opiekowali się szkołą. Celem polskich szkół w Niemczech było wyrwanie młodzieży z nienormalnych warunków życia w obozach, zajęcie ich nauką dla ich własnego dobra i o ile to było możliwe, nadrobienie straconych podczas wojny lat szkolnych. Szkoły były bezpłatne i dostępne dla każdego, nawet gdy kandydat znacznie przekraczał normalny wiek szkolny⁴. Nauczyciele byli też pod naciskiem komunistycznego rządu polskiego, który starał się poddać ich swej kontroli. Praca nauczycieli, ich przeciwdziałanie się naciskom komunistycznym i poświęcenie się ideałom wolności, były wspaniałym przykładem prawdziwego patriotyzmu.

Dyrektor Odrobny i jeden z nauczycieli odwiedzili Lippstadt i wrócili z pomyślnymi wiadomościami. Przeprowadzka tam była ze wszech miar wskazana, szkoła była teraz wolna od nieporządanych nacisków politycznych, warunki mieszkaniowe były dobre, a szkoła zajmowała budynek dawnego gimnazjum niemieckiego i była wyposażona we wszystkie potrzebne sale i laboratoria.

Opuściliśmy Knechtsteden rankiem 15 października 1946 roku i zajechaliśmy do Lippstadt po południu pełni nadziei na lepsze warunki do nauki w nowej szkole. Lipsztacki „obóz” składał się z małej części miasta zarezerwowanej dla „dipisów”. Internat męski i żeński mieściły się w osobnych budynkach na tej samej ulicy. Z internatu szło się tylko kilka minut do szkoły znajdującej się w starym, imponującym, dwupiętrowym budynku niemieckiego *Gymnasium*, który był obrosnięty winoroślami, w tym czasie już bez liści. Wokoło budynku trawniki, krzewy, ścieżki wyłożone kamiennymi płytami, a przed budynkiem pomnik założyciela szkoły Ostendorfa. Wysoko na frontonie budynku widniał teraz duży napis: „Polski Ośrodek Szkolny”.

Tutejszy dyrektor przywitał nas wszystkich w obecności całej szkoły zebranej w auli na drugim piętrze i zaczęły się lekcje. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że aby być na równym poziomie z miejscowymi uczniami, musieliśmy nadrobić matematykę i historię, oni zaś musieli poprawić łacinę i angielski, aby nam dorównać.

Lekcje fizyki w nowej szkole były przyjemnością, gdyż mieliśmy do dyspozycji w pełni wyposażone laboratorium i można było przeprowadzić wszystkie potrzebne doświadczenia. Bardzo ciężko szła nam jednak matematyka, bo nauczyciel jakoś nie potrafił materiału jasno wyłożyć i był wielkim pedantem. Zrozumiałe, że w matematyce trzeba być dokładnym, ale gdy ktoś powiedział

⁴ W. Kowalczyk, *Szkolnictwo polskie w Niemczech 1945–1948*. Warszawa 1961.

„uwalniać z nawiasów” zamiast „otworzyć nawiasy”, albo pięć „do potęgi” trzeciej zamiast pięć „w potęgę” trzeciej, to przecież nie był to koniec świata?!

Ale za to nasza nauczycielka polskiego, była prawdziwym skarbem! Pani już nie pierwszej młodości, ale bardzo miła i świetna nauczycielka. Wiedziała jak stworzyć swobodną atmosferę w klasie i w ten sposób osiągnąć dobre wyniki. Zawsze zachęcała nas do chodzenia do teatru, na opery i wskazywała dobre filmy w lipsztackich kinach. Była z tym w kolizji z kierownictwem Ośrodka Szkolnego, którego oficjalna polityka nie pozwalała na branie udziału w imprezach i przedstawieniach organizowanych przez Niemców. My w tych sprawach w pełni zgadzaliśmy się z postawą polonistki, a nie kierownictwa.

Należeliśmy do czwartego okręgu szkolnego, którego kierownik, major Scheybal, wizytował szkołę. W naszej klasie był na historii i matematyce, a wieczorem wizytował nasz internat.

Aby nadrobić czas stracony bez możliwości uczenia się podczas wojny, staraliśmy się przerobić cały rok szkolny w przeciągu około sześciu miesięcy i w lutym 1947 roku właśnie nadchodził koniec tego sześciomiesięcznego okresu. Odbywały się klasówki, więc pracy mieliśmy jeszcze więcej niż zazwyczaj i regularnie chodziło się bardzo późno spać. W tym tak bardzo krytycznym czasie miasto ograniczało też prąd elektryczny. Elektryczność mieliśmy tylko od 7 do 9 rano, od 12 do 2 po południu i od 5 do 9 wieczorem. W niektóre wieczory jedliśmy kolację przy świetle palących się odlupanych z deski, cienkich kawałków drzewa, bo nawet świeczek zabrakło. Na szczęście w szkole światła nie wyłączano i czasem chodziliśmy tam się uczyć w pokojach nauczycielskich.

Po zdaniu egzaminów skończyłem wtedy trzecią klasę gimnazjum, która miała następujący program: religia, język polski, język łaciński, język angielski, historia, geografia, fizyka i chemia, matematyka, ćwiczenia cieleśne.

W Lippstadt, oprócz uczęszczania do kin, gdy nie było zbyt wielkiego nawału pracy, mieliśmy też okazję bywać na operach, operetkach, sztukach teatralnych i koncertach symfonicznych. Do naszego miasta przybywały na gościnne występy dobre zespoły operowe i teatralne z większych miast niemieckich, a raz wystąpiła nawet słynna berlińska orkiestra filharmoniczna pod batutą znanego Rumuna Sergiu Celibidache. Powstał też w Lippstadt miejscowy teatr operetkowy, do którego uczęszczaliśmy, choć jego poziom artystyczny był sporo niższy od poziomu przyjeżdżających zespołów. A szkoła urządzała co kilka tygodni zabawy taneczne najpierw w auli a później w sali gimnastycznej. Mieliśmy też świetny szkolny chór męski prowadzony przez zdolnego muzyka pana Oziemblo. Podczas wakacji chór dał serię koncertów w polskich obozach DP.

W maju 1947 roku dwóch uczniów zostało wydalonych ze szkoły za podsłuchiwanie konferencji klasyfikacyjnej. Poprzedniego dnia odbywała się właśnie konferencja na zakończenie pierwszego okresu, a uczeń klasy 3, chcąc ją podsłuchać, ukrył się w sali konferencyjnej pod mapą na szafie. Leżał tam przeszło trzy godziny bez ruchu, a gdy już nie mógł dalej wytrzymać i poruszył się, zauważono go. Jego przyjaciel chciał mu oddać przysługę i zerwał z tablicy kartkę dyrekcji o wydaleniu, za co też został natychmiast wydalony. Obaj mieszkali potem w prywatnym mieszkaniu, bo z internatu też ich wydalono.

Z powodu skróconego roku szkolnego nie można było nadążyć z pracą szkolną. Spać szło się regularnie o 1.00 albo 1.30 po północy, a czasem jeszcze później. A w szkole, gdy trzeba było słuchać wykładu, oczy się zamykały i nie było na to rady. Ale zależało to też od tego, jaki był wykład. Nie można było usypiać na łacinie, bo było nas tylko pięciu, łacinnik przepytывał codziennie, więc trzeba było stale uważać. Nie było drzemania na polskim, bo lekcje były zbyt żywe i interesujące. To samo można było powiedzieć o matematyce i angielskim. Najbardziej chciało się spać na lekcji religii, bo ksiądz, mówiąc, siedział za katedrą ze schyloną głową, albo jeszcze gorzej, z zamkniętymi oczami.

Demoralizowała nas niepewność, czy pozostaniemy w Lippstadt. Jeszcze w marcu 1947 roku wywieszono zawiadomienie, że obóz może być zamknięty pod koniec miesiąca, a nie wracający do Polski mieli być rozmieszczeni po innych obozach. Istniała jednak możliwość, że szkoła i rodzice uczniów pozostaną nadal w Lippstadt choć Niemcy bardzo się starali aby nas się pozbyć i odzyskać budynek szkolny. I na szczęście, po kilku dniach okazało się, że choć inni wyjadą, prawdopodobnie nasza społeczność szkolna tu pozostanie, w całości około 250 osób. Ale w ostatnim tygodniu czerwca, ku naszemu zmartwieniu, znów były pogłoski, że może nas przeniosą i to jeszcze przed końcem roku szkolnego. A do końca roku było tylko kilka tygodni, więc myśleliśmy, że władze mogłyby przynajmniej tyle zaczekać! Dziwiło nas bardzo, że dyrektor okręgu UNRRA, Polak

zresztą, nie mógł nam oszczędzić takiego nieszczęścia. Ale 3 lipca otrzymaliśmy dobrą wiadomość — nauczyciele, uczniowie i rodzice pozostaną w Lippstadt, przynajmniej na razie. Co za ulga! Resztę mieszkańców przeniesiono do obozu w Augustdorfie.

Kuchnia czasem zrobiła nam niespodziankę i podała treściwy posiłek: mięso, ziemniaki z sosem i buraczki. Na ogół jednak wyżywienie było bardzo biedne. Często, gdy dodatkowe dostawy z domu się wyczerpały, jedliśmy suchy chleb. Pokonani Niemcy mieli lepsze wyżywienie niż my, rzekomi zwycięzcy.

Nasz instruktor wychowania fizycznego po prostu kochał przesadną dyscyplinę! Przyszedł jednego wieczoru o 9.30 z zastępcą dyrektora, łacinnikiem, i po modlitwie obaj przeprowadzali inspekcję mieszkań. Podczas inspekcji my wszyscy staliśmy na dole i swobodnie sobie rozmawialiśmy, a raczej porządnie hałasowaliśmy. Gdy instruktor zeszedł na dół wykrzyczał nas najpierw, a potem zwolnił tylko klasy licealne, a reszcie kazał pomaszerować na dwór! Do pół do jedenastej brzmiał na boisku jego głos szczególnie donośny i krzykliwy tego wieczora. Do pół do jedenastej maszerowaliśmy, biegaliśmy, robiliśmy przysiady, zwroty i tym podobne sztuczki. Gdy się już wszystko skończyło byliśmy porządnie zmęczeni i zgrzani. Mnie złościło najwięcej to, że straciłem tak dużo czasu. Miałem zamiar zacząć się uczyć bezpośrednio po modlitwie.

31 lipca 1947 roku nareszcie nadszedł koniec roku szkolnego, uczczony uroczystą mszą św., na której śpiewał nasz chór, a potem odbyła się tradycyjna akademія. Były przemówienia, deklamacje i wystąpił znów nasz chór, tym razem z pieśniami ludowymi na chór męski i innymi na chór mieszany. Świadectwa dostaliśmy w swych klasach. Nasze, z klasy 4, było w pewnym stopniu ważniejsze, bo oznaczało ukończenie gimnazjum, czyli osiągnięcie tzw. „małej matury”.

Nowy rok szkolny rozpoczął się 15 września 1947 roku, a miał to być tym razem pełny rok, nie skrócony jak poprzednie, a więc kończący się w czerwcu 1948 roku. Zastępca dyrektora, łacinnik, miał do mnie żal, że nie wybrałem liceum humanistycznego, tylko matematyczno-fizyczne. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie wyemigrujemy do jakiegoś obcego kraju i polskie świadectwo humanistyczne nie na wiele by się tam przydało, zaś wykształcenie techniczne miałyby zastosowanie wszędzie. Z praktycznych więc względów większość uczniów właśnie to wybrała. W programie pierwszej licealnej mieliśmy: religię, język polski, angielski, historię, zagadnienia życia współczesnego, biologię, fizykę z astronomią, chemię, matematykę, ćwiczenia cieleśne, miernictwo i geometrię wykreślną. Miałem też przedmioty nadobowiązkowe: język francuski i niemiecki i śpiew.

Do naszej klasy pierwszej licealnej dołączył kontyngent uczniów z obozu w Borghorst. Razem z nimi nasza klasa była teraz liczna — szesnaścioro uczniów: troje w liceum humanistycznym, trzynastu w matematyczno-fizycznym.

Wyglądało na to, że w naszym Polskim Ośrodku Szkolnym w Lippstadt prowadzono jakieś intrygi. Ośrodek składał się z kilku szkół: Ogólnokształcącej Szkoły Średniej, Handlowej Szkoły Średniej, Szkoły Rolniczej, Szkoły Techników Radiowych i Kursu Mierniczego. Dyrektor Odrobny był kierownikiem całego ośrodka, na ogół szanowanym i lubianym. Krążyły jednak pogłoski, że został usunięty z kierownictwa ośrodka przez intrygi jakichś ludzi z Lippstadt. Podczas regularnej, niedzielnej pogadanki wychowawczej po mszy, prowadzonej tym razem przez ks. prefekta Kopczewskiego, powiedział on, że w rzeczywistości władze szkolnictwa zlikwidowały funkcje kierowników we wszystkich takich ośrodkach szkolnych w Niemczech, więc p. Odrobny też przestał być oficjalnym kierownikiem naszego ośrodka. Zaofiarowano mu wysokie stanowisko w centralnych władzach szkolnictwa, ale odmówił przyjęcia, woląc pozostać w Lippstadt jako nauczyciel i nasz mentor. Jednak nauczyciele wszystkich szkół lipsztackich prosili go, aby pozostał, choć nieoficjalnie, kierownikiem ośrodka i naszym reprezentantem u władz angielskich, na co się zgodził.

Wychowawca naszej klasy pan Napierała-Kowalski organizował nam wycieczki klasowe. Na początku roku szkolnego byliśmy pociągami w mieście Detmold aby obejrzeć tam ogromny pomnik bohatera niemieckiego Hermana, a drugą wycieczkę mieliśmy w lutym do miasta Wuppertal. Pod koniec roku zaś, w czerwcu, cała szkoła wyjechała do grot szczelinowych w Warstein niedaleko od Lippstadt.

Uroczyste zakończenie roku szkolnego odbyło się 22 czerwca 1948 roku, a już 2 lipca wyjechaliliśmy na obóz szkolny w namiotach w Müngersdorf na krańcach Kolonii, który trwał przeszło miesiąc.

Nowy rok szkolny zaczął się w pierwszych dniach września. Dla mnie był to rok maturalny z następującymi przedmiotami: religia, język polski, język angielski, historia, zagadnienia życia współczesnego, biologia, fizyka z astronomią, chemia, matematyka, propedeutyka filozofii, ćwiczenia cielesne, miernictwo, geometria wykreślna i nadobowiązkowy śpiew.

Mieszkańcy obozów DP zaczęli zgłaszać się na emigrację. Dotyczyło to też uczniów, więc w szkole następowały zmiany. Kilku uczniów zapisało się na emigrację do Kanady, zwolniło się ze szkoły i pojechało do pobliskiego obozu w Paderborn na komisję emigracyjną. Pozostawała po nich smutna pustka. Nie wiadomo było, czy nam, którzy na razie zostawaliśmy, będzie danym skończyć liceum i dojść do matury, ale zawsze milej by było dążyć do tego celu w większej grupie, wspólnie, zamiast patrzeć jak po drodze to ten to ów odchodził.

Niezadługo potem pan Napierała-Kowalski zapisał się na emigrację do Australii, mieszkał w obozie przejściowym w Paderborn i tylko dojeżdżał do nas na lekcje, które prowadził po południu. Ponieważ jego transport do Australii miał ruszać dopiero w połowie grudnia, zamierzał do tego czasu skończyć z nami program chemii, przeprowadzić egzaminy i wystawić stopnie do matury. Egzaminy maturalne też miały być wcześniej, prawdopodobnie w marcu, ze względu na możliwość emigracji. Nasza niezastąpiona polonistka, pani Kowalczyk też planowała emigrację — do Kanady.

Nasz męski chór szkolny wystąpił z koncertem we więzieniu w Werl, około godziny drogi od Lippstadt. Prosił o to kapelan więzienia, ks. Wnuk. Pierwszy występ daliśmy dla więźniów Polaków, a drugi dla Niemców, między którymi było ośmiu generałów Wehrmachtu i marszałek Kesselring.

Zbliżały się egzaminy maturalne. Rok szkolny został skrócony do 30 maja, zajęcia szkolne maturzystów kończyły się 2 maja, a 17 miały się zacząć egzaminy pisemne. W poniedziałek 16 maja odbyła się konferencja pedagogiczna decydująca o tym, kogo dopuścić do egzaminów maturalnych. W pierwszym dniu miał być pisemny egzamin z języka polskiego, następnie matematyka a w czwartek fizyka. Tak więc we wtorek o siódmej trzydzieści rano dziesięcioro nas było na mszy i u komunii, a o ósmej zaczęliśmy pisać egzamin z języka polskiego w dużej sali rysunkowej obok kaplicy. Sala była jasna, z dużymi oknami i długimi stołami, przeważnie po jednym kandydacie przy każdym stole. Do wyboru były trzy tematy. Ja wybrałem „Znaczenie wychowawcze literatury polskiej w dziejach naszego narodu”. Przez sześć godzin przeznaczonych na wypracowanie maturalne, nasze młodsze koleżanki podawały nam od czasu do czasu bułki z masłem i herbatę. We środę pisaliśmy matematykę, a we czwartek fizykę. Egzaminy ustne miałem tylko z chemii i matematyki, bo z polskiego zostałem zwolniony.

W środę 25 maja ogłoszono wyniki i dowiedziałem się, że zdałem maturę! Byłem więc „dojrzałym” człowiekiem!

Po egzaminach maturalnych wyjechałem do obozu rodziców na krótkie wakacje, ale w połowie czerwca wróciłem do Lippstadt na trzymiesięczny kurs techników mierniczych. Kurs ukończyłem na krótko przez wezwaniem naszej całej rodziny do obozu przejściowego w Münster na komisję emigracyjną do Australii w dniu 23 września 1949 roku.

Wacław J. Jędrzejczak (Australia)

*

Wacław Jędrzejczak przybył do Australii z rodzicami i rodzeństwem w styczniu 1950 r. Na początku pracował fizycznie, według kontraktu podpisanego z australijskim urzędem imigracyjnym. Studiował potem inżynierię lądową, a po skończeniu studiów pracował aż do emerytury w 1987 r. jako inżynier w stanowej instytucji energetycznej. Na emeryturze zdobył kwalifikacje polsko-angielskiego tłumacza przysięgłego i pracował dorywczo jako tłumacz przez następne dziewięć lat. Ożenił się w Australii z Polką i wychowali pięcioro dzieci.